Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 1 (406). *WARSZAWA, 7 stycznia 1928 r.* *ROK XXI*



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN CENTRALNEGO ZWIĄZKU POLSKICH STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

KONTO P. K. O.: „Centralny Związek Polskich Stow. Łowiec." 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę

Do Szan. PP. Prenumeratorów nowoprzybyłych.

Zawiadamiamy, że nowa ustawa łowiecka w całkowitem jej brzmieniu i z artykułami omawiającymi ją, została wydrukowana w Nr. 30 „Łowca Polskiego". Numer ten nabyć można w redakcji. Pożądany jest pośpiech, gdyż numer ten jest na wyczerpaniu.

Do Szan. PP. Prenumeratorów!

Do numeru 30-go załączyliśmy po 2 przekazy P. K. O. 80-82. Jeszcze raz prosimy przeto uprzejmie o łaskawe wręczanie zbywających przekazów myśliwym, którzy dotąd nie zaprenumerowali „Łowca Polskiego". Kto zaś z dotychczasowych prenumeratorów sam nie zapłacił, zechce to uczynić jaknajprędzej, abyśmy nie byli zmuszeni wstrzymać dalszej wysyłki.

Na polowaniach i zebraniach myśliwi propagować powinni jedyny tygodnik myśliwski „Łowiec Polski".

O POWTÓRNE NUMERY.

W razie zaginięcia numeru na poczcie posyłamy go pp. Prenumeratorom powtórnie bezpłatnie, aczkolwiek nie jest to nasza wina, bo ekspedycja oddaje poczcie ryczałtem ogólną ilość numerów opłaconych. Wobec zaś nowego polecenia poczty, że powtórne wysyłanie podlega osobnej opłacie, — zmuszeni jesteśmy prosić, ażeby do żądania powtórnej wysyłki załączono znaczkami pocztowymi po 20 gr. za każdy numer, jako zwrot porta i kosztu papieru.

O DOKŁADNY ADRES.

W celu uniknięcia pomyłek w wysyłce pisma naszego, prosimy Sz. Prenumeratorów o dokładne i wyraźne podawanie adresów i nazwisk.

ADMINISTRACJA.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr.

CENA OGŁOSZEŃ: Najmniejsze ogłoszenie (18 milim. i szpalt) — 6 zł. Za każde następne 3 mm. po : zł (cała szpalta liczy się za 288 mm.). Przed tekstem o 50% drożej. Karta tytułowa o 100% drożej.

Jak należy rozumieć łowiectwo.

Z żalem stwierdzam, iż większość ludzi nie rozumie, lub nawet nie usiłuje zrozumieć wyrazu „łowiectwo" w pełnem tego słowa znaczeniu. Jedni, nadmiernie przeczuleni, wołają, zasłyszawszy coś o łowiectwie: „Barbarzyństwo! Ludzie ci cofają naszą kulturę, na której budowę wieki się składały. Dążą oni do pierwotnego stanu zdziczenia. Miejsce ich nie tutaj"! A inni znów nieświadomi ze czcią chylą czoła przed tak pięknemi, a szumnobrzmiącemi hasłami, a właściwie frazesami tylko. Bo zdania te jakże są puste! Jakże mało w nich treści. Zaiste! Tylko ludzie bez duszy, tylko tacy, którzy zerwali Każdy z nich wytworzył sobie jakieś opaczne pojęcie o myślistwie i gorliwie je w życiu stosuje. Jednemu myśliwy dostarcza mięsa, co jest dobrym interesem, zwłaszcza, iż łatwo oszukać naiwnego łowcę. Drugiemu daje możność popisywania się znajomością w świecie towarzysko-salonowym. Trzeciemu pozwala na wygłaszanie podniosłych kazań o barbarzyńskości polowań, kazań zachwycających biernych słuchaczów. Nikt z pomiędzy nich nie zadaje sobie żadnego trudu, by pojąć, nie rozumem — lecz duszą, tylko, powtarzam, duszą słowo „łowiectwo". To też pragnąc uprzy-

I-sza nagroda na konkursie „Łowca Polskiego"



W sercu Polesia *Fot. dr. St. Zaborowski.*

ostatnią nitkę łączności z przyrodą i z Bogiem, tylko tacy mogą wygłaszać podobne teorje. Drudzy pozują na bohaterów lecz drżą przed lada szelestem, podczas łowów, na stanowisku. Nikt im przeczyć nie będzie: wykształcenia, wychowania, urodzenia, majętności, wszystkiego, co należy do „dobrego tonu" w towarzystwie, lecz wara im od łowiectwa naszego, gdzie miejsce tylko dla ludzi. rozumiejących i kochających wielkie i zaszczytne miano myśliwego. Trzeci typ to spekulanci, ciągnący ze wszystkiego korzyści dla siebie. Żaden z tych profanów, nie pojmuje wyrazu „łowiectwo". tomnić, czem jest myślistwo w najszlachetniejszem znaczeniu, kreślę te parę słów.

Dawno już minęły te czasy, gdy dziki człowiek żył wśród tysiąca niebezpieczeństw, w dzikiej, leśnej knieji; gdy był narażony na ciągłe niepokoje, a życie jego było szeregiem walk o byt. Człowiek taki był synem natury, w niej żył, z nią współdziałał. Rozwijał on w sobie siłę mięśni, wzrok, słuch, dotyk. Wszystko to było mu do walki potrzebne. Walczył odłamkiem gałęzi, lub pięścią. Zwyciężał — lub padał zabity. Tak kończył zwykle nasz protoplasta żyjący nakształt dzikiego zwierzęcia.

Od tego czasu dużo zmian zaszło w sposobie naszego życia. Dziś mamy wszelkie wygody i udoskonalenia. Byt posiadamy zapewniony, bronić się nie mamy przed czem, czy przed kim, a choćby i przyszło to uczynić, broń wszelkiego gatunku zastąpi chyba zwykłą maczugę. Życie nasze, w porównaniu z życiem ludzkiem w zamierzchłej przeszłości, jest jednym ciągiem szczęścia i rozkoszy. Ma ono, coprawda, inne niedogodności, lecz te wypływają z całkiem innych źródeł. Na skutek właśnie tych udoskonaleń, wynalazków i odkryć, człowiek zerwał z naturą — przyjaciółką, a nawiązał stosunki z naturą — sługą. Jest ona podporządkowana nam, a więc odwrotnie, niż dawniej. Zatracono już nawet sam wyraz „przyroda". Słowo to zostało jakby wymazane ze słownika teraźniejszej ludzkości. A przyroda ta, jakże słodką jest, jakże powabną. Prawowitemu swemu synowi otworzy wszystkie tajniki, zapozna go z całem swem życiem, które jakże jest zajmujące. Jakąż rozkosz sprawia obcowanie na jej łonie, wspólnie ze wszystkimi jej tworami, zarówno żyjącymi, jak i martwymi. A ileż można się nauczyć! Bo przyroda jest mistrzem w urządzaniu życia jednostki i społeczeństwa. Obcując z nią, podnosimy ducha na wyżyny, rozwijamy się fizycznie i umysłowo. Nabywamy ducha miłości naszej ziemi, naszego kraju. Stajemy się do niej przywiązani, jak dziecko do dobrych rodziców. Poznając wszelkie udoskonalenia w naturze, powiększamy zasoby wiedzy naszej. Wszystkie teorje, znane nam dotąd tylko ze słyszenia, oglądamy cudownie zastosowane w praktyce, w życiu codziennem wszechświata. To wszystko pojęliśmy tylko my, myśliwi. My, którzy rzeczywiście jesteśmy solą tej ziemi. Opoką, na której ona się utrzymuje. Przez częste obcowanie z naturą kształcimy swe umysły, rozwijamy ciało. Wszystkie zagadnienia mamy rozwiązane, wszelkie tajniki odkryte i przyswojone. Kochamy nasz kraj i przyrodę, która znowu jest nam przyjaciółką, a nawet matką. Gdy zaś obowiązki oderwą nas od niej, stajemy się słabi i chorzy. Wyglądamy z niecierpliwością chwili, w której będziemy mogli się wyswobodzić, a dla osłody godzin osamotnienia powtarzamy za wieszczem naszym:

„Ojczyzno nasza — Ty jesteś, jak zdrowie!"

JERZY SULIMA.



Wprowadzanie w życie nowego prawa łowieckiego.

Nowe prawo łowieckie, jednolite dla całego Państwa obowiązywać poczęło z dniem 28 grudnia 1927 r.

W związku z jego wprowadzeniem w życie Ministerstwo Rolnictwa w dniu 16 grudnia rozesłało do wszystkich Urzędów Wojewódzkich następujący okólnik za Nr. 2288/L. I.:

Wobec wejścia w życie z dniem 28 grudnia 1927 r. rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110 poz. 934) zajdzie potrzeba rejestracji obwodów łowieckich w myśl postanowień art. 12 rozporządzenia.

Obwody łowieckie pod względem minimum obszaru gruntów, z których mogą być tworzone, różnią się od rewirów (okręgów) łowieckich, w których, zgodnie z dotychczasowymi przepisami, można było wykonywać prawo polowania. Aby umożliwić w czasie przejściowym wykonywanie prawa polowania na obszarach niebędących zarejestrowanymi obwodami łowieckimi w rozumieniu art. 12 rozporządzenia, art. 89 rozporządzenia postanawia, że obwody łowieckie (okręgi), utworzone na podstawie dotychczasowych przepisów, uważane być mają za utworzone zgodnie z rozporządzeniem o prawie łowieckiem do dn. 1 marca 1928 r., względnie do chwili wygaśnięcia umów dzierżawnych, jeżeli były wydzierżawione.

Przez obwody łowieckie (okręgi), utworzone na podstawie dotychczasowych przepisów, należy rozumieć:

a) na obszarze działania galicyjskiej ustawy łowieckiej z dnia 13 lipca 1909 r. (dz. ust. kraj. z 10 stycznia 1910 r. Nr. 2 cz. II) — ustanowione przez starostwo w myśl § 11 wymienionej ustawy okręgi polowania samoistnego i spółek łowieckich;

b) na obszarze działania pruskiej ustawy łowieckiej z dnia 15 lipca 1907 r. (P. G. S. 1907, s. 207) — samoistne tereny łowieckie i zbiorowe tereny łowieckie, utworzone w myśl przepisów §§ 4 — 12 wymienionej ustawy;

c) na obszarze działania ustawy gospodarstwa wiejskiego (Zb. pr. b. car. ros. t. XII cz. II);

1) na terenie b. Kongresówki — obszary o nieprzerwanej przestrzeni 150 morgów, na których osobom uprawnionym w myśl przepisów art. art. 358 — 362 ustawy gospodarstwa wiejskiego przed dniem 28 grudnia 1927 r. przysługiwało uprawnienie do wykonywania polowań, oraz

2) na Ziemiach Wschodnich — obszary, na których osoby uprawnione w myśl przepisów artykułów 332 i 335 ustawy gospodarstwa wiejskiego przed dniem 28 grudnia 1927 r. prawo polowania bez przeszkody faktycznie wykonywały.

Wobec tego osoby, które w myśl obowiązujących przed dniem 28 grudnia 1927 r. przepisów wykonywały na pewnych obszarach polowanie, mogą te polowania wykonywać bez obowiązku zgłaszania obwodów łowieckich do rejestracji do dnia 1 marca 1928 r., względnie do czasu wygaśnięcia umowy dzierżawnej, jeżeli polowanie jest wypu-

szczone w dzierżawę. Za równoznaczne z wygaśnięciem umowy dzierżawnej należy uważać zerwanie umowy, unieważnienie jej na mocy obowiązujących przepisów i inne czynności, powodujące przerwanie stosunku umownego.

O ile umowa dzierżawna przestanie obowiązywać przed dniem 1 marca 1928 r., a wypuszczający w dzierżawę może w myśl przepisów rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem użytkować polowanie samodzielne, t. j. nie jest ograniczony do użytkowania polowania jedynie przez wydzierżawienie, przysługiwać mu winno do dnia 1 marca 1928 r. prawo samodzielnego użytkowania polowania bez obowiązku zgłoszenia obwodu łowieckiego do rejestracji.

Tereny łowieckie, niezarejestrowane przez starostów przed dniem 1 marca 1928 r., względnie niezgłoszone do rejestracji tak wcześnie, by uważane były za zarejestrowane przed dniem 1 marca 1928 r. przez upływ czasu w myśl art. 12 rozporządzenia o prawie łowieckiem, nie będą po tym terminie uważane za obwody łowieckie i wykonywanie polowania na tych terenach będzie wzbronione.

Wymienione wyżej zasady, któremi winny się kierować władze przy załatwianiu spraw łowieckich w okresie przejściowym, nie mają zastosowania do wypadków, przewidzianych w artykułach 45 i 46 rozporządzenia o prawie łowieckiem. Polowanie z chartami lub psami gończymi oraz polowanie na łosie - byki, a w województwach lwowskiem i stanisławowskiem również na jelenie - byki może być po dniu wejścia w życie rozporządzenia o prawie łowieckiem dozwolone jedynie o tyle, o ile właściciel polowania zgłosił do rejestracji obwód łowiecki, odpowiadający pod względem obszaru wymaganiom art. 45, względnie 46.

Przy rejestracji okręgów łowieckich należy postępować w sposób dla zgłaszających obwody do rejestracji, jaknajmniej uciążliwy.

Jako dowód, że obszar gruntów, zgłoszonych do rejestracji, odpowiada przepisom artykułów 6 — 11 rozporządzenia o prawie łowieckiem, wystarcza poświadczenie naczelnika gminy lub szkic sytuacyjny gruntów, przyczem nie należy wymagać szkicu sytuacyjnego tam, gdzie z powodu braku map katastralnych przedstawienie takiego szkicu stwarzałoby dla zgłaszających obwody łowieckie do rejestracji szczególne trudności. Dowodu, że zgłaszany obwód łowiecki odpowiada wymaganiom ustawy, nie należy żądać w tych wypadkach, gdy warunki lokalne są władzom z dotychczasowego postępowania znane, lub gdy z rozmiarów zgłaszanego obwodu można wnioskować, że odpowiada on wymaganiom ustawy.

Wobec wprowadzenia w wykonaniu art. 25 rozporządzenia o prawie łowieckiem, nowych kart łowieckich z ważnością od 1 marca 1928 r. ważność dotychczasowych kart łowieckich należy przedłużyć do tego terminu.

Podając powyższe zasady do wiadomości Pana Wojewody, proszę o wydanie podległym organom polecenia ścisłego ich stosowania.

Minister J. NIEZABYTOWSKI.

Dowiadujemy się, iż na zasadzie art. 51 pkt. a Ministerstwo Rolnictwa zamierza zamknąć polowanie na przeciąg całego roku na terenie całego Państwa na łosie, dropie i na ginącą coraz bardziej ozdobę lasów polskich — wiewiórki.

J. E.

NA NIEDŹWIEDZIA

O piątej zrana, przy zupełnym mroku nocy, wyruszyliśmy na polowanie. Kilkanaście wiorst przejechaliśmy w saniach. O samym wschodzie słońca znaleźliśmy się na szczycie wysokiej góry, skąd był rozległy widok na olbrzymie jezioro i otaczające je lasy. W mroźnej, iskrzącej się mgle drgały wszystkimi kolorami tęczy pierwsze promienie wschodzącego słońca, a dziki, napoły górzysty krajobraz, tonął jeszcze w błękitnawem świetle, połyskując od dołu białem, zamarzniętem lustrem leśnego jeziora. Nie było tu nigdzie jakiegokolwiek śladu ludzkiego istnienia. Niezbrukana stopą człowieka, panowała tu wszechwładnie dziewicza, pierwotna natura. W lodowym uścisku, spowita w śnieżnym całunie, drzemała potężna przyroda, by na wiosnę wybuchnąć niepohamowaną, żywiołową siłą życia i przemówić silnem tchnieniem z każdego miejsca, z każdego zakątka dzikiego pejzażu. Myśliwskiem okiem i sercem odczuwało się uśpioną jej moc, ten gwar i te przeróżne głosy, które za parę miesięcy miały rozbrzmiewać na brzegach tych wód — napełnić okalające je lasy.

Zatrzymały się nasze sanie. Tu kończyła się droga, którą jechaliśmy. Obok leżące szczątki stogów, wskazywały na jej pochodzenie. O kilkanaście kroków dalej widniał nieduży, przykryty zrąb, bez okien i z bardzo małemi drzwiami. Była to tak zwana „fatierka". Stanowił ten prymitywny, leśny pałacyk miejsce zamieszkania w czasie wypraw łowieckich przemysłowców-myśliwych. Wewnątrz niego leżał stos kamieni, śród których rozniecał się ogień, a gdy nagrzały się kamienie, ogień się gasiło i otrzymywało się zupełne ciepło na dłuższy przeciąg czasu. Wchodziło się do tego domku na czworakach, co też niebawem, odprzągłszy konie, wykonali nasi furmani. Prezentując łatane i dziurawe swe spodnie, ginęli jeden za drugim w małym otworze, nazywanym drzwiami leśnej „fatierki".

Stanęliśmy na nartach. Tym razem wiadomo nam było, że będziemy mieli dalekie przejście. Nie przypuszczaliśmy jednak, by aż taka przestrzeń, jak się później okazało, leżała przed nami.

Po kilku krokach wstąpiliśmy w odwieczny las, który jeszcze nie widział siekiery. Obumarłe olbrzymy, tworząc zbałwanione zwały, na których rosły nowe pokolenia, kończyły tu swój długi żywot naturalną śmiercią. Nadzwyczajna cisza i zupełny cień panowały w tym lesie. Ani jeden promień słońca nie przenikał po przez zwarte korony świerków i sosen. Dziewiczy majestat puszczy przemawiał do duszy, napełniając ją dziwnym urokiem potęgi i piękna niepokalanej przez człowieka przyrody.

Pierwszy spotkany ślad, był to świeży trop rosomaka, którego dotąd jeszcze nie widziałem w życiu. Sama pewność pobytu w krainie tego najdzikszego zwierza, ustępującego przy najmniejszem zetknięciu się z ludźmi, stanowiła już wielką, łowiecką radość. Bacznie zbadałem trop. Na pierwszy rzut oka był nadzwyczaj podobny do śladu rocznego niedźwiadka. Różnił się tylko delikatniejszym odciskiem stopy i niezwykłą lekkością. Na puszystym, miękkim, śnieżnym całunie zwierzę nie zapadało ani trochę i przechodziło po wierzchu, jak gdyby swą jedwabistą łapą miękko stąpał ryś lub bielak.

Zbliżało się południe. Zapytany przewodnik, jaką część drogi mamy już poza sobą, oznajmił

MINĘŁY DOBRE CZASY...

Ustawa Łowiecka, ogłoszona dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej, a zapowiadająca przewrót w dziejach łowiectwa polskiego ożywiła nadzieją lepszej przyszłości liczne rzesze wyznawców św. Huberta.

Już dziś śni się nam, myśliwym, pomyślniejsze jutro i „pełne zwierza bory"...

Czy wszystkich jednakowa ogarnia radość z powodu ogłoszenia Ustawy Łowieckiej?

Chciałoby się w to wierzyć — niestety, trudno jest nie wątpić.

Niech świadczy o tem fakt następujący:

W nocy z 26 na 27 listopada r. z. po szosie św. Anna — Kłomnice (pow. Radomskowski) mknęło auto, w którem, oprócz szofera siedziało dwu jegomościów. Panowie ci zabawiali się strzelaniem do zajęcy i królików, wpadających w smugę świateł reflektorów. Wiadomo wszystkim, że zwierzyna znalazłszy się, podczas przebiegania przez szosę, w sferze silnego światła samochodu, czuje się jak w korytarzu jaskrawo oświetlonym, i biegnie przed siebie, nie decydując się skoczyć w bok, ponieważ nieoświetlona reflektorami, ciemna przestrzeń stanowi jakgdyby ściany korytarza.

Szanujący się kierowca maszyny, w obawie, by nie przejechać zająca, czy królika, rzadziej sarny — zwalnia biegu i przyciemnia światło, dając możność wystraszonej zwierzynie wymknięcia się z groźnej sytuacji.

Nierzadko jednak, mniej kulturalny szofer przyśpiesza biegu i zając ginie pod kołami samochodu. Niektórzy kierowcy traktują ten sposób zdobywania zwierzyny jako odrębny rodzaj sportu.

Ale wróćmy do naszych „myśliwych", którzy zdążyli dać już kilkanaście strzałów. Szosa, o której mowa, częściowo przecinała pola włościańskie, dzierżawione przez jedno z częstochowskich kółek myśliwskich, częściowo leśne rewiry, należące do dóbr Garnek.

Nim gajowi, zaalarmowani strzałami, przedsięwzięli jakiekolwiek kroki, auto w mrokach nocy zniknęło.

Na podstawie przeprowadzonych natychmiast badań, wynikało, że w rezultacie strzelaniny padło 4 sztuki (3 zające i 1 królik), w tem 3 w obrębie terenów Częstochowskiego Kółka i jedna — w rewirach leśnych dóbr Garnek. W obliczeniu tem możliwe są, naturalnie, omyłki.

Upojeni łatwymi sukcesami i bezkarną ucieczką „drapieżce nocni" wieczorem z 11 na 12 grudnia powtórzyli swą niecną wyprawę do tej samej miejscowości. Niedarmo stare przysłowie powiada, że „jak Pan Bóg chce człowieka ukarać, to mu rozum odbiera".

Zabrakło mianowicie amatorom łatwej zdobyczy, wilczego nawet sprytu, polegającego na tem, aby nie powtarzać swych wypraw zbójeckich w jednem i tem samem miejscu zbyt często i w dodatku tak niedaleko od własnego gniazda, jak się o tem niżej dowiemy.

Powtórna ekspedycja skończyła się jednak smutnie. Na odgłos bowiem pierwszych strzałów, gajowi natychmiast zawiadomili posterunek policyjny we wsi Garnek i zabarykadowawszy szosę drabiną, zatrzymali samochód. Dokonana rewizja stwierdziła, iż w samochodzie znajdował się ciepły jeszcze, świeżo „upolowany" zając. Wobec takiego „corpus delicti" przystąpiono do wylegitymowania „nemrodów". Jednym z nich był zapasowy sędzia śledczy, Józef, syn Władysława, Nierubiszewski.

---

z pewnym wstydem, że zaledwie jedną trzecią. Zrozumiałem wówczas, jak wielki będzie „hak" ponad dziesięć kilometrów, o których zapewniał. Najwidoczniej nasz osacznik przypuszczając, że możemy przestraszyć się olbrzymiej przestrzeni i całkiem nie pójść do legowiska, co pozbawiłoby go zarobku za pokazanie zwierza, obawiał się przed polowaniem wyraźnie wymienić ilość wiorst, które będziemy mieli do przebycia na nartach. Wykręcał się teraz jak mógł; tłumaczył, że są tu przyjęte „jekatierynińskije wiorsty", liczące po siedemset pięćdziesiąt sążni i że zresztą ich tu nikt nigdy nie mierzył. Nie wątpiliśmy o tem ani trochę, a wobec uroku otaczającego nas lasu, nie brałem mu tego za złe, żałując tylko, żeśmy nie wzięli z sobą odpowiedniego zapasu żywności, by móc ostatecznie nietylko dzień, ale i noc spędzić przy ognisku wśród odwiecznej puszczy.

Wciąż wracałem myślą do rosomaka. Obiecywałem osacznikowi sowitą nagrodę za doprowadzenie do strzału. Niestety, było to niemożliwe. To rzadkie zwierzę pozostaje w ciągłym ruchu. W jednolitych lasach, nieprzeciętych żadnemi trybami, najmniejszym śladem jakichkolwiek dróg, słowem niczem, co stanowi punkt wyjścia i oparcia na polowaniu, nie mogło być mowy o otropieniu. Jedyny sposób zdobycia rosomaka stanowiła jesienna wyprawa przy małym śniegu z dobrą sforą gończych, ciętych psów. Zmykając przed ogarami, zwierz wchodzi na drzewo i daje tem możność zejścia go na strzał.

W chwili, gdy układałem w myśli przyszłą wyprawę w te lasy, tuż przed nami wyleciał ze śniegu stary głuszec. Pochwyciwszy śrutówkę od mego strzelca, wysunąłem się na czoło pochodu. Przeczucie nie omyliło, — o kilkanaście kroków dalej wyrwał się drugi kogut, podejmując za sobą śnieżną kurzawę. Straciłem go w jednej chwili. Znakomicie urozmaiciło to naszą drogę, odpędzając zmęczenie, które już odczuwało się w nogach, nieprzywykłych do długiego chodzenia na nartach po tak falistym terenie.

Już słońce okolone mroźnemi, tęczowemi kołami, znajdowało się nisko nad horyzontem, gdy na szczycie wysokiej góry przystanął osacznik i z rozpromienioną twarzą oznajmił, że dotarliśmy do legowiska. Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, odleciało zwątpienie, że wogóle za dnia dojdziemy do barłogu. Nabiłem sztucer i powoli ruszyłem naprzód. W starym, wysokopiennym lesie, bez najmniejszego podszycia, pod dużym, jodłowym wykrotem spoczywał niedźwiedź. Zatrzymałem się o dwadzieścia kroków od legowiska, polecając osacznikowi wypędzić zwierza. Danilo, tak mu było na imię, zaszedł z boku i długą żerdzią pchnął w głąb pod wykrot. Zwierz zamruczał, złapał za kij, targał nim i ciągnął ku sobie, ale nie trwało to długo. Niebawem w otworze ukazała się jego głowa i powoli, postękując, wychodził z barłogu. Gdy był już cały na wierzchu i dał pierwszego susa, kierując się od nas w bok, strzeliłem mu na komorę. Kula trafiła w serce, zabijając na miejscu. Była to potężna niedźwiedzica o wyjątkowo pięknem, miękkiem i puszystem, popielatem futrze. Waga jej, sądząc z pomiarów, mogła wynosić około 220 kilogramów. Skórę zdjęliśmy na miejscu, zabierając ze sobą, pozatem wzięliśmy część wyciętej polędwicy, resztę pozostawiając rosomakom na pożarcie.

BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI.

zamieszkały w Częstochowie, ul. Dąbrowskiego 5-a, drugim inspektor sejmiku Częstochowskiego, Zygmunt, syn Ignacego, Strusiński, również z Częstochowy, zamieszkały przy ul. Puławskiego 4.

Temu ostatniemu posterunkowy zabrał fuzję, ponieważ numer strzelby nie odpowiadał numerowi, zanotowanemu w pozwoleniu na broń.

O zajściu został spisany protokuł, który przysłano drogą właściwą do starostwa Radomskowskiego.

Mógłby ktoś zarzucić, że notatka niniejsza nie dość jasno stwierdza, iż w obydwu wypadkach działała ta sama „ekspedycja łowiecka". Co do osób, biorących w niej udział, pewności niema. Udało się jednak w następstwie wyjaśnić, że numer samochodu zatrzymanego w dniu 11 grudnia, odpowiadał w zupełności numerowi auta, które zauważone było w pamiętny wieczór 26 listopada przez szofera zatrudnionego w dobrach Garnek.

Dodać należy, że samochód jest własnością sejmiku częstochowskiego.

Opisaliśmy wypadek, który nie jest odosobniony. Czyż tego rodzaju „łowcy" nie powitali Ustawy Łowieckiej ze zgrzytaniem zębów?

Dotychczas, nawet wobec przyłapania na gorącym uczynku winowajcom udawało się przeważnie wykręcić się sianem.

Spróbujmy obliczyć, jakie konsekwencje pociągnęłaby za sobą taka wyprawa, gdyby zastosować postanowienie karne świeżo ogłoszonej Ustawy Łowieckiej.

Dokonane przestępstwo kwalifikować należy jako:

1) Polowanie na cudzym terenie (art. 76 p. 3) kara zł. 200.—
2) Polowanie między zachodem a wschodem słońca (art. 76 poz. 5) kara zł. 200.—
3) Polowanie sposobem niedozwolonym, w danym razie przy pomocy światła reflektorów (art. 77 poz. 2) kara 6 tyg. aresztu i zł. 500.—

Ponieważ kilka jednocześnie popełnionych przestępstw, powodujących różne wymiary kary, w ostatecznym rezultacie sprowadzają wymiar do jednej tylko kary, mianowicie najwyższej, mielibyśmy do czynienia z kwotą 500, — na 2 osoby zł. 1.000.—

Odszkodowanie w potrójnej wysokości wartości ubitej zwierzyny na rzecz właścicieli rewirów:		
za 4 zające a zł. 9 = 36 × 3	zł.	108.—
za królika zł. 2 × 3	zł.	6.—
Razem	zł.	1.114.—

Wypadałoby więc sięgnąć głębiej do kalety, a pozatem posiedzieć 6 tygodni w areszcie.

W dodatku, wobec niezgodności numerów oznaczonych w karcie łowieckiej, z numerem dubeltówki, groziłaby konfiskata broni (art. 83).

Szczęściarze! Unikną tym razem większej katastrofy finansowej, gdyż nowe Prawo Łowieckie weszło w życie dopiero z dniem 28 grudnia r. z.

Czy się ważyć będą powtórzyć podobne wybryki w przyszłości?

Ej, chyba nie. Zamiast polować po szosach, będą się spotykali w drugorzędnej restauracji częstochowskiej, popijać piwko i kiwając głowami, wspominać dawne, dobre, bezpowrotnie minione już czasy.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.

Od Redakcji. Jako uzupełnienie powyższych słusznych uwag, dodam od siebie:

W obowiązujących u nas po dzień opisanych powyżej przestępstw „Przepisach o polowaniu z 1871 r." w par. 22 (sposoby prawem zakazane) pod literą c widzimy: „Polowanie nocną porą lub przy świetle". A następnie w par. 56: „Za polowanie nocną porą albo przy świetle ogniowem winni ulegną karze pieniężnej od 10-ciu do 40 rubli, w miarę do zamożności". Otóż 40 rb. złotych po zwaloryzowaniu wyniesie 200 zł.

Ponadto przypomnę analogiczny wypadek, jaki się zdarzył przed niedawnym czasem we Francji, gdzie sąd skazał solidarnie obu podsądnych na 10.000 fr. odszkodowania, oraz na **konfiskatę samochodu**, jako narzędzia użytego do nielegalnego polowania.

JAN SZTOLCMAN.



Z polowań afrykańskich.

26. II. Nairobi.

Pierwsza próba strzelania wypadła wprost fatalnie: dałem ze trzydzieści, a może i więcej strzałów, a żadnej sztuki nie podniosłem. Zgodnie z umową Mr. Waller zajechał po nas samochodem o godzinie 8-ej zrana. Niebo było czyste, pogodne, czas obiecywał być gorący. Niedaleko miasta spotkaliśmy kilka sztuk kongoni; były, niestety, w tak zwanej rezerwie, tak, iż, choć stały od nas bardzo blisko, nie mogłem do nich strzelać. Droga, zupełnie dobra, prowadziła wzdłuż kolei, dopiero przy stacji Athi River skręciliśmy na lewo i wjechaliśmy do Athi Plains, terenu dzisiejszego polowania.

Było koło dziesiątej, słońce piekło porządnie, powstał silny wiatr. Pierwsza sztuka, którą spotkaliśmy był koziołek Thomson. Zeszliśmy z M. Wallerem z samochodu i zaczęliśmy podchód. Wiatr, połączony z silnym kurzem dął prosto w oczy, słońce prażyło niemiłosiernie.

Thomson dał się podejść może na trzysta kroków. Spocony i zasapany strzeliłem i zdołowałem znacznie, gdyż ziemia zakurzyła się od kuli o kilkanaście metrów przed miejscem, na którem sztuka stała. Widocznie zbyt gwałtownie pociągnąłem za cyngiel.

A następnie rozpoczęła się dla mnie prawdziwa, myśliwska Golgota. Zwierzyny pokazywało się coraz więcej. Kongoni, granty*), gnu, zebry, na horyzoncie widniały żyrafy. Wszystko to jednak było bardzo płochliwe i nie dawało się bliżej ani podejść, ani podjechać, niż na mniej więcej trzysta kroków. A żar słoneczny powodował wibrację powietrza, wszystko wydawało się zamglone, nawet kształty sztuk, do których strzelałem, były jakby nieuchwytne, odległość zaś, dzieląca mnie od nich, nie dawała się łatwo określić, wobec czego nie zdawałem sobie sprawy, który wizjer przy danym strzale podnieść należy.

To też chybiałem stale i bez przerwy. Ani znaczna wielkość niektórych sztuk, jak naprzykład zebr, gnu lub kongoni, ani czasem względnie niedu-

Nagroda I-sza na konkursie „Łowca Polskiego".



Piękne trofeum — *Fot. dr. St. Zaborowski.*

ża odległość — nic mi pomódz nie mogła. Emocja, powodująca bicie serca, nieznośny upał, fatalne dla europejczyka, bo zbyt jaskrawe światło i wreszcie piekielny wiatr, istny samum, zasypujący mi oczy piaskiem, oto czynniki, które przyczyniały się do mego pudłowania.

Tu muszę się przyznać do zgoła niemyśliwskiego czynu. Podjechaliśmy może na trzysta kroków kilkanaście kongoni, które zbiły się tak blisko siebie, że stanowiły jakby gęstą masę. Zmęczony i zdenerwowany, nie wybierając żadnej poszczególnej sztuki, strzeliłem, jak to mówią, w kupę i jedną sztukę raniłem prawdopodobnie w brzuch. Odbiła się od stada, zwolniła biegu i wreszcie położyła się w odległości może tysiąca kroków, niedaleko trzech żyraf, o których poprzednio wspomniałem. W tej samej chwili pękła kiszka w samochodzie, chciałem więc na piechotę podchodzić ranną sztukę. Ale mimo postrzelenia, była ona niezmiernie ostrożna, tak, że nie było sposobu dojścia na odległość strzału; po pewnym więc czasie musiałem odstąpić od zamierzonego celu i powróciłem do samochodu zły i zmęczony.

Spragniony byłem strasznie, czułem w ustach gorycz i suchość, to też ucieszyłem się, wróciwszy do samochodu, że nasz lunch był już gotów. Piwo dość chłodne i wyborny ananas byłyby mi smakowały, gdyby fatalny rezultat polowania nie odbierał humoru i apetytu.

Po krótkiej chwili, gdy samochód został doprowadzony do porządku, wyruszyliśmy na dalsze łowy. Strzelałem do Thomsona, grantów, kongoni zawsze z tym samym rezultatem, a Lula**) dzielnie mi wtórowała. Nie zwracałem uwagi ani na to, czy sztuka stoi, czy też jest w ruchu. Byłem wściekły, miałem wrażenie, że już nic nie potrafię ustrzelić, straciłem wiarę w dobroć swojego wzroku i sądziłem, że sztucer jest do niczego.

W takiem byłem usposobieniu, gdyśmy pod wieczór wrócili do Nairobi. Zajechawszy przed hotel, widziałem ironiczne miny hotelowych gości, gdy się dowiedzieli, że wracamy z pustemi rękami. Jedyną pociechą były mi słowa M. Wallera, który mi powiedział, abym tych pierwszych pudel nie brał do serca, gdyż z dzisiejszej próby wnosi, że nie umiem sobie dać rady z określeniem odległości, lecz że będę z pewnością dobrze strzelał.

HENRYK POTOCKI.

*) Różne gatunki antylop (Przyp. Redakcji).

**) Hr. Potocka (Przyp. Redakcji).

Z literatury łowieckiej.

„Polująca pani" Władysława Janty Połczyńskiego.

Niewielu jest w Polsce ludzi równie zasłużonych dla rodzimego łowiectwa, jak nestor myśliwych wielkopolskich, Władysław Janta Połczyński.

Twórca „Łowiectwa Wielkopolskiego", organizator niestrudzony Wielkopolskiego Związku Myśliwych, służy umiłowanej przez siebie sprawie wszystkiemi siłami. Jako świetny pisarz, w pracy swej zmierzający ku odrodzeniu łowiectwa w Polsce, używa swego pióra, wzbogacając literaturę naszą cennemi i pożytecznemi dziełami. „Estetyka łowiectwa", będąca tryumfalnym hymnem na cześć piękna, zaklętego w przygodach myśliwskich, opowieść o „Świętym Eustachym", tryskające dowcipem i skrzące staropolskim humorem „Ramoty i ramotki myśliwskie", stawiają tego wybitnego działacza i pisarza śród najzasłużeńszych na polu krzewienia kultury myśliwskiej piórem. Wszystkie te dzieła przeniknięte są umiłowaniem polskiej kniei i dzikiego zwierza, w każdem zdaniu, w każdej literce widać i czuć wielkie serce poety. Młodzieńczy temperament ponosi pisarza, porywa go — i porywa również czytelników.

z „początkującą", panną Jadwigą, „kuzynką z Warszawy", która „strzelała już z wiatrówki w Warszawie"... Z nowelki tej dowiadujemy się, iż polowanie w piątek przynosi pecha, a kąpiel w rzece Wełnie, podczas polowania na kaczki, nie wszystkim pannom wychodzi na zdrowie.

„Edukowana" myśliwa jest niebezpieczniejsza jeszcze od początkującej. W opowieści o niej Autor potwierdza ziszczenie się drugiej części srogiej przepowiedni Wenus: „I kobiety na ciebie polować będą"... Guwernantka jego siostry, panna Teodozja, która nie była piękną i nie była brzydką, nie była młodą i nie była starą, pokrzyżowała mu rozkoszne plany spotkania z dobrym szostakiem, niestety, granicznym.... Zatrzymała go zbyt długo w altanie opowiadaniem o tem, jak to wszystkim zawsze przynosiła szczęście. Kozioł ominął „pana Władka". Żyd kozła sprzątnął. Uszczęśliwiająca stara panna przyniosła zatem znowu szczęście, ale tym razem żydowi na granicy.

Część II nosi tytuł „Łowy z przynętą i wnykami". Autor opisuje przedewszystkiem „zbrojow-



Wyjazd na łowy. *J. Fałat.*

Ostatnią książka Władysława Janty Połczyńskiego nosi tytuł: „Pani polująca". Na cykl zawartych w niej opowieści złożył się szereg świetnych, dowcipnych i wesołych opowiadań „dla pożytku i zabawy myśliwych i niemyśliwych". I niemyśliwi bowiem z ciekawością i upodobaniem przeczytają te historje, które poprzedza zabawny wstęp: „Kobieta jako łowczyni".

W cyklu „Z zielonej młodości" mówi nam Autor o „Wyroku Parysa". Gdy raz spoczywał po męczącem polowaniu, stanęły przed nim trzy boginie i obwieściły mu, iż poraz drugi posprzeczały się o piękność i wdzięk. Zeus nakazał im spór dać do rozstrzygnięcia pierwszemu spotkanemu na drodze mężczyźnie. Jego pierwszego napotkały.

Autor oświadcza grupie bogiń, iż spór uważa za mocno spóźniony, lecz, jako człowiek dobrze wychowany, dzieli jabłko na trzy części i obdarza niem trzy boginie, które ogarnia wściekłość... I wróżą mu one wiele nieszczęść i głoszą zemstę straszliwą. — Wenus zaś woła: „Moje pohańbienie jest największe! Polować zato będziesz z kobietami i kobiety na ciebie polować będą"...

Wróżba bogini piękności ziściła się w dalszych opowiadaniach. Autor poluje z kobietami. Najpierw

nię pięknej pani", a potem mówi nam z czarującym uśmiechem o „namiętnej myśliwej". Nawiasowo chcę zauważyć, iż w nowelce tej Połczyński używa świetnego słowa „nabieg", które raz nareszcie powinno zastąpić w języku myśliwskim nieznośny anlauf. (O zwierzynie lotnej możnaby powiedzieć: nalot).

W „Polującej dla towarzystwa" i psującej każde polowanie zbyt głośnym flirtem. Autor na końcu pisze: „Niech mię nikt z powodu tego, co napisałem, nie posądza o złe myśli lub o złą wolę wobec polującej kobiety. Oświadczam publicznie, iż na polowaniach widzę chętnie kobietę i to obojętne jaką, czy młodą, czy starą, piękną, czy brzydką, ale najukochańsza będzie dla mnie zawsze ta tylko, która przyjeżdża w czasie przerwy z furgonem śniadaniowym, ze zrazami, bigosem, wódeczką. Co to za specjalik — co za delikates, — strzelby nie ma — człowiek tak bezpiecznie zajada"...

„Polująca z nudów i ciekawości" jest groźną dla towarzysza polowania. Autor siedząc na lisiej zasiadce, w towarzystwie takiej pani, ujrzał wyłaniające się ze zboża dwa rude drapieżniki. I pomyślał:

— Będzie piękny dublet.

— Lecz czem są myśli, pragnienia, gdy nie spełniają bogów życzenia, a życzenia bogów, niestety, są często pragnieniem kobiety... — Myśliwa „polująca z nudów" zjawiła się przy nim i poczęła tłumaczyć się głosem rozpieszczonego dziecka: „Tak było cicho... Ja się tak bałam sama... Przyszłam zobaczyć, czy pan tu jest jeszcze"... Lisy, oczywiście, djabli wzięli.

Inna nemrodka, idąc z nim na łowy sarnie, wypytuje Autora „jak to się poluje na sarny?" A gdy ten tłumaczy jej fachowo polowanie na wabia, podczas rui, pyta ciekawie: „A cóż to ruja?"

„Ruja, to czas weselny, miodowy miesiąc sarniego rodu".

„Czy to dzisiaj będzie ruja?"

„Dzisiaj nie. Ruja będzie za miesiąc".

„A czemu dopiero za miesiąc?"

„Bo tak się sarny umówiły. Zawsze tylko w sierpniu".

„Jakie one niemądre"...

Pełne humoru są opowiadania „Baczność! Kobieta poluje!" i „Karnawał łowiecki".

„W łowisko prawidłowych" myśliwych płci żeńskiej wprowadza nas część III książki. Jest tam „Niezwykłe trofeum", „Polowanie z krekuchą" i wreszcie „Klątwa trzech bogiń", nawiązująca do mitologicznego wstępu. Jeśli przepowiednie okrutnych bogiń niezupełnie się sprawdziły, to zasługa w tem św. Huberta. Polując z wielu kobietami, Autor nie wpadł nigdy w zastawione przez nie sidła, ani nie zginął przy podstawionej krekusze. Św. Hubert obronił go od postrzału w serce i w nogę.

Połczyński jest sprawiedliwy. Ułomności, które wylicza nam, opisując kobiety polujące, są, zdaniem jego, nieraz również ułomnościami polujących mężczyzn.

A jest przytem jedna bezspornie dodatnia cecha i bezsporna korzyść z różnego rodzaju odmian „polującej pani". Oto pani owa natchnęła Autora „Pani polującej" do napisania książki, pełnej humoru i prawdziwie pięknej. I choć ta, czy owa „pani polująca" polować przestanie, świetna książka pozostanie w naszej literaturze nazawsze.

JULJAN EJSMOND.



Redakcja „Łowca Polskiego" składa Czytelnikom i Przyjaciołom pisma najlepsze noworoczne życzenia!

Ku Peczorskim puszczom.

(1909 — 1911).

Po drobiazgowem rozpatrzeniu w Archangielsku w jesieni 1909, stanu interesów fabryki obróbki toczydeł i osełek na Peczorze, oraz po uwidocznieniu zupełnej niemożliwości dalszego jej prowadzenia — właściciel jej, p. Stanisław Wyszomirski, zaproponował mi, jako swemu najbliższemu współpracownikowi i zastępcy, udanie się powtórne do Uść — Cylmy celem ostatecznego zlikwidowania peczorskich interesów. Wyjechać miałem w grudniu i przebyć w Peczorskim kraju, z powodu zbyt krótkiego terminu powrotu drogą zimową, a następnie długotrwałych, wiosennych roztopów, przerywających na miesiąc i więcej wszelką komunikację z Archangielskiem, do lata, a w połowie lipca powrócić pierwszym statkiem przez Ocean Lodowaty.

Ponieważ można było przewidywać, że od kwietnia do dnia odjazdu będę mógł rozporządzać swoim czasem swobodnie, przemyśliwałem, jakby ten czas zużytkować w sposób i przyjemny i pożyteczny. Jeden ze znajomych poddał mi myśl wykorzystania wiosennego zlotu miljonowych rzesz ptactwa przeróżnych gatunków i rodzajów i zajęcia się systematycznem kolekcjonowaniem jaj celem zaofiarowania w przyszłości takiego zbioru jakiemu muzeum zoologicznemu.

Myśl ta spodobała mi się odrazu. Pełne ciszy i spokoju podczas zimowych miesięcy lasy, błota i tundry północy, ciszy nieprzerwanej nawet przez tak licznych czworonogich mieszkańców tych odległych krain, rozbrzmiewają z nadejściem wiosny, aż do brzegów oceanu, śpiewem i życiem, wniesionem przez chwilowych, skrzydlatych gości. W tych warunkach mogłem być pewnym, że nietylko starsze, lecz i młode pokolenie, a nawet głównie to ostatnie, dostarczy mi wszelką potrzebną ilość jaj razem z gniazdami, lecz dla uskutecznienia tego projektu, trzeba było uzyskać przedewszystkiem zezwolenie odnośnych władz, gdyż niszczenie gniazd bez określonego celu jest surowo zabronione. W sprawie tej udałem się do Zarządu Archangielskiego Towarzystwa badania Rosji Północnej, którego byłem członkiem, z prośbą o poparcie mego podania. Nadspodziewanie Zarząd wziął przeprowadzenie wszelkich formalności na siebie i po kilku tygodniach miałem w kieszeni oficjalne zezwolenie na zbieranie gniazd ptasich z jajami w celach naukowych. Gdybyż powołane czynniki wiedziały, ile setek tysięcy jaj, przeważnie kaczych i gęsich, a więc przezemnie przyjmowanych w bardzo ograniczonej ilości, ginie corocznie w żołądkach Zyrjan i Samojedów! Może zresztą i wiedzą, lecz żadne zakazy, wobec zupełnej niemożliwości przeprowadzenia jakiejkolwiek kontroli, oraz z powodu ciemnoty ludności, nierozumiejącej szkody wyrządzanej rabunkowem gospodarstwem jak w tej, tak i w innych dziedzinach, nie odniosą skutku.

W oczekiwaniu na wyjazd, który miał nastąpić za parę miesięcy, napisałem list do p. Steigera, właściciela wielkiej pracowni preparatorskiej w Monachium, z prośbą o wysłanie mi kilku kompletów narzędzi do preparowania jaj, a więc specjalnych pilniczków różnych wymiarów do wiercenia otworów i szklanych rurek do wydmuchiwania z jaj zawartości.

Firma Steiger, przesyłając zamówione przedmioty, wystąpiła jednocześnie z propozycją zaopatrywania jej w dobrze spreparowane skórki różnych przedstawicieli fauny Rosji Północnej, przeważnie drapieżnych ptaków, a nadto dostarczania żywych okazów zarówno czworonogów, jak i świata skrzydlatego.

Taki obrót sprawy wymagał już głębszego namysłu. Przedewszystkiem wyłoniła się sprawa środków materjalnych, a następnie trzeba się było zdecydować na powtórne zainstalowanie się na Peczorze na dłuższy okres czasu, co niewątpliwie nastąpićby musiało wrazie pomyślnego rozwoju przedsiębiorstwa. Co do punktu pierwszego, to sprawa przedstawiała się o tyle zadawalniająco, że przy szczupłych środkach, jakimi rozporządzałem, mogłem liczyć na stały przypływ świeżej gotówki za wysyłane pocztą, preparowane skórki, a również na możność wykorzystania, wrazie nagłej potrzeby, kredytów u miejscowego kupiectwa. Co do pozostania zaś jeszcze przez czas dłuższy—może lat kilka—w Peczorskim kraju, to aczkolwiek, wobec likwidacji fabryki toczydeł, miałem w lipcu przyszłego roku powrócić do kraju, lecz z powodu panującego jeszcze po wojnie japońskiej w całem państwie ogólnego zastoju, nie mogłem liczyć na łatwe znalezienie jakiej możliwej posady, a więc rozsądniej było pozostać jeszcze czas jakiś na Peczorze i próbować szczęścia na tem nowem polu pracy. Rozpatrzywszy więc wszystkie za i przeciw, zgodziłem się ostatecznie na propozycję p. Steigera, o czem mu też niezwłocznie zakomunikowałem, przesyłając jednocześnie, po zebraniu jakich takich danych u miejscowych preparatorów, co do cen, pobieranych przez myśliwych za bite, drapieżne ptactwo, cennik na preparowane skórki, bardzo dla mnie, jak się następnie okazało, korzystny, a przyjęty przez p. Steigera w całości i bez zastrzeżeń, z czego mogłem wnosić, że ceny, podane przezemnie, były niższe od cen pobieranych przez syberyjskich dostawców skórek. Ceny na żywe zwierzęta i ptaki mogłem wysłać dopiero z Peczory po porozumieniu się z miejscowymi myśliwcami.

Wobec szczęśliwego zaangażowania bardzo dobrego preparatora w Archangielsku, spadł mi ostatni, związany z interesami, kłopot z głowy i resztę czasu przed wyjazdem mogłem poświęcić sprawom więcej osobistym, a więc przedewszystkiem odwiedzeniu w Warszawie rodziny, z którą nie widziałem się od kilku lat, i załatwieniu, przy okazji, różnych, niezbędnych przy odjeździe do tak odległej miejscowości, zakupów.

Naogół nie lubię jazdy koleją — zbyt męczącym jest przejazd w ciasnych, dusznych wagonach bez możności jakiego takiego rozprostowania kości, a szczególniej przy podróżach długodystansowych, trwających bez przerwy prawie, po kilka dni i nocy i często w mniej zajmującem towarzystwie. Tym razem jednak tak byłem rad z możności przewietrzenia się po kilkoletniem zapadnięciu w lasach i śniegach surowej północy, że nawet ten środek lokomocji zdał mi się miłem urozmaiceniem życia.

Najuciążliwsza część drogi to przeszło 800-kilometrowa, typu wązkotorowego, linja kolei między Archangielskiem a Jarosławiem z ciasnymi, mocno zniszczonymi i tak wąskimi wagonami, że nawet podczas snu niema możności swobodnego wyciągnięcia zdrętwiałych nóg. Uciążliwość i monotonja podróży zwiększają się jeszcze tem, że na przestrzeni dziesiątków kilometrów droga ciągnie się przez błota i pociąg pełznie z szybkością zaledwie pięciu kilometrów na godzinę. Dopiero w Jarosławiu, po przeprawieniu się statkiem przez Wołgę, wsiada się do wagonów pullmanowskich kolei szerokotorowej, które w porównaniu z tylko co

opuszczonymi, wydają się aż nazbyt komfortowymi. Jadę drogą okrężną na Moskwę, Omsk, Kursk do Biełgorodu, gdzie zatrzymuję się u mieszkającego tam podówczas brata Witolda i ztamtąd przez Kijów do Warszawy.

W Warszawie zabawiłem parę tygodni, z czego korzystając, wziąłem w pracowni ś. p. Łastowskiego kilka lekcyj zdejmowania i preparowania skórek, uważając, że lepiej posiąść tę umiejętność, by wiedzieć, jakie wymagania można stawiać swemu preparatorowi, a także, by móc, wrazie potrzeby, samemu wziąć się do tej czynności.

Chciałem nabyć w Warszawie jaką dobrą, przystępnie ułożoną, a więc odpowiednią dla samouka, ornitologję, lecz, niestety, takiej nie znalazłem i dopiero w powrotnej drodze nabyłem w Moskwie doskonałą ornitologję prof. Cholodkowskiego i Siłantjewa pod tytułem „Ptaki Europy", wykładającą rzecz od podstaw, bardzo drobiazgowo, szeroko i jednocześnie dostępnie, a przytem zaopatrzoną w kolorowe tablice ptaków i jaj, które, aczkolwiek w wykonaniu wiele ustępowały takimże zagranicznym, pozwalały, bądź co bądź, orjentować się przy klasyfikacji. Przytem przy drobiazgowych opisach życia i zwyczajów poszczególnych ptaków, podane były przedewszystkiem dane tyczące się upierzenia tak wyrośniętych osobników, jak i młodych z dokładnymi wymiarami przy wskazywaniu wahań — „od i do", — jak tułowia, tak i oddzielnych części, a więc skrzydeł, ogona, łba i dzioba z dodaniem wymiarów i spisu zabarwienia jaj, a również i sposobów budowy gniazda przez danego ptaka. Wreszcie na zakończenie, tablice ilustrujące drobiazgowo zdejmowanie skórki z wrony w kolejnych fazach tej procedury z dokładnym opisem i wszelkiemi wskazówkami tyczącemi się konserwacji skórek. Jednem słowem książka, według mego skromnego zdania, doskonała i mogąca być pożyteczną nietylko dla początkującego, lecz nawet i więcej zaawansowanego w tej dziedzinie, ornitologa.

Wydanie ładne, na doskonałym papierze, lecz oczywiście w języku rosyjskim i dość drogie, gdyż cena jego wynosiła coś około dwudziestu dwóch rubli. Przypuszczam, że brak w polskim języku podobnego wydawnictwa wynikał li tylko z ówczesnych, panujących u nas, warunków i zupełnej niemożliwości reflektowania na liczniejszych nabywców, co zmuszało poniekąd polskich uczonych do publikowania swych prac raczej w językach obcych. Oprócz powyższego dzieła zaopatrzyłem się dodatkowo w ornitologję prof. Menzbiera i wyposażony w ten sposób, powróciłem w końcu listopada do Archangielska, skąd, po obstalowaniu siatek na klatki dla zwierząt i ptaków, które poleciłem wysłać pocztą, i zaopatrzeniu się w tak zwaną „podorożną", pozwalającą na korzystanie z koni pocztowych lub ziemskich na peczorskim trakcie za opłatą 5 kop. za wiorstę i konia, bez którego to dokumentu dzierżawcy stacyj pocztowych zdarliby z przejeżdżającego skórę, wyruszyłem w pierwszych dniach grudnia w drogę do Uść — Cylmy i z takiem wyrachowaniem, by zatrzymać się jeszcze dni parę na dorocznym jarmarku w Pińczy, leżącej o 200 wiorst od Archangielska, dla zorjentowania się na wszelki wypadek w tegorocznym popycie na skórki zwierząt futerkowych i w cenach na nie.

Już po raz trzeci odbywałem tę przeszło osiemset kilometrową drogę końmi, tylko obecnie nie uczuwałem już tego niepokoju i jak gdyby lęku przed tak daleką podróżą podczas przejmujących mrozów i prawie stałej ciemności, rozjaśnianej jedynie przez blask śniegu i światło gwiazd, księżyca i zorzy północnej, o ile pogoda dopisywała. Przywykłem już przez lat tyle do tych dalekich przejażdżek i to nieraz w warunkach znacznie cięższych, niż bądź co bądź, pocztowym traktem.

Pierwszy wybitniejszy etap — to niewielkie powiatowe miasteczko Chołmogory, leżące nad brzegiem Dźwiny północnej, w odległości 70 klm. od Archangielska, miejsce urodzenia znakomitego poety i uczonego 18 wieku, Łomonosowa, który mając lat kilkanaście bez żadnych środków materjalnych, gnany jedynie żądzą nauki, wyruszył stąd pieszo z „obozem" i w ten sposób dotarł do Petersburga. W 16-tym i 17-tym wieku Chołmogory odgrywały rolę centrum skupiającego w sobie handel kraju Północnego z anglikami po odkryciu przez nich drogi białomorskiej. W początkach 18 wieku Piotr Wielki zabił wprawdzie chwilowo handel białomorski, skierowując go do portu petersburskiego, lecz wzamian rozwinął, udzielając nadbrzeżnym mieszkańcom przeróżnych ulg, rybołówstwo jak rzeczne, tak i morskie, wybudował w Chołmogorach warsztaty okrętowe i sprowadził z Holandji rasowe bydło rogate, któremu po dziś dzień słynie nietylko powiat Chołmogorski, lecz i cały północny kraj.

Między Chołmogorami a Pińczą zdarzyło mi się ciekawe spotkanie z wilkami. Godzina była wczesna — między 11-tą a 12-tą w nocy. Droga prowadziła brzegiem lasu, wznoszącego się z jednej strony czarną ścianą, z drugiej — rozpościerała się otwarta równina, ciągnąca się do brzegów przepływającej w pobliżu Dźwiny. Noc była, jak to często zdarza się na północy, mroźna, lecz cicha, bezwietrzna, a przytem księżycowa, pozwalająca na swobodną obserwację całego, roztaczającego się przed oczami, krajobrazu. Młody mój towarzysz spał smacznie, wyciągnięty w wygodnych saniach, „rozwalniach", przystosowanych do odbywania dalekich podróży w pozycji leżącej. Ja czuwałem, wpół leżąc, napawając się otaczającym mnie spokojem i ciszą i pod zupełnym urokiem tej czarownej zimowej nocy, o jakiej mieszkaniec miasta, pogrążony w codziennej walce o byt, wyobrażenia mieć nie może. W pewnej chwili woźnica zbudził mnie z zadumy, zwracając się ze słowami: „Panie! przed nami wilki". Uniosłem się w saniach i spojrzałem na drogę. W oddali — w odległości mniej więcej pół kilometra — sunął gęsiego szereg załadowanych towarami sani, dążących na pinczewski jarmark, tak zwany „obóz". Z tyłu — w pewnem oddaleniu — biegły dwa, jak mi się wydawało, psy, a w rzeczywistości, jak to zauważył, obdarzony lepszym wzrokiem, woźnica, wilki. Gdy podjechaliśmy bliżej, jeden z wilków skręcił w lewo i znikł w lesie, drugi zaś zboczył na równinę i stanął w odległości kilkunastu kroków od drogi, jak gdyby chciał powiedzieć: — Proszę, przejazd wolny. Uderzyło mnie zachowanie się koni, — nie okazywały najmniejszego niepokoju. Dubeltówki z sobą nie miałem, mając zaopatrzyć się w broń palną dopiero w Uść -Cylmie, lecz oburzony bezczelnością zwierza i biorąc pod uwagę krótki dystans, jaki mnie dzielił od niego, chciałem dać mu nauczkę z rewolweru i w tym celu wydobyłem z pod płaszcza nieodstępny w podróżach browning. Wilk siedział w dalszym ciągu na tylnych łapach spokojnie i dopiero gdy, po zrównaniu się z nim sani, wystrzeliłem, zerwał się, odbiegł ze trzydzieści kroków w tył i znów przysiadł. Przyklęknąłem w saniach i znów wystrzeliłem, już tylko dla postrachu i wtedy dopiero wilk ruszył w sronę rzeki. Po chwili wysunął się z lasu drugi wilk i połączywszy się z towarzyszem, zniknął w sinawej dali.

Oczywiście lepszy niż ja, więcej doświadczony, strzelec trafiłby zwierza na tak krótki dystans bez wątpienia; dla mnie jednak zbyt trudny był strzał w niewygodnej, siedzącej pozycji, przy niepewnem oświetleniu księżycowem i w dotatku w ciężkiej, podróżnej malicy z reniferów, w jaką byłem ubrany.

Jak mi wyjaśnił woźnica, spotkania takie podczas surowej zimy zdarzają się dość często. Rzecz

w tem, iż podczas zimowej pory między powiatami Pińczewskim i Chołmogorskim z jednej strony, a Archangielskim z drugiej trwa bezustanna wymiana towarów. Dnia niema, by traktem nie ciągnęły większe lub mniejsze obozy, przy których zawsze znajduje się parę lub kilka psów. Na te psy właśnie czatują wilki i jeżeli który niebacznie pozostanie w tyle obozu, często bywa porywany. Zaznaczyć trzeba, iż w dwóch wymienionych, niewielkich stosunkowo, lecz gęsto zaludnionych, powiatach jest bardzo znaczna ilość wilków, gdy tymczasem w Sliezieńskim trafiają się rzadko, a w olbrzymim Peczorskim, tak obfitującym w mniejsze i większe zwierzęta drapieżne, w którym jeden mieszkaniec wypada na 20 klm. kwadratowych, wilków niema wcale; zjawiają się znów w większej ilości w tundrze w Tymańskich górach, t. j. tam, gdzie spotykają duże stada reniferów oswojonych i dzikich. Widać więc z tego, iż siłą przyciągającą dla tych drapieżników są te osiedla ludzkie, w których jest szeroko rozwinięta hodowla bydła, koni, nierogacizny i t. d., tak jak w tundrze hodowla reniferów.

(C. d. n.). WACŁAW NOWACKI.

Ze wspomnień łowieckich.

Polowanie z gończymi.

Piękna jesteś, ziemio podolska, swą bezbrzeżną równiną, pokrytą kurhanami i mogiłami, tymi jedynymi świadkami krwawych walk pradziadów na kresach naszych.

Piękna swymi jarami, kryjącymi nieraz nietylko dworki szlacheckie, lecz i wsie całe.

I zdumione oko widzi, hen, w dali siwawy dymek, wznoszący się wprost, jak gdyby z ziemi, — to dymek z kominów schowanych chat wśród zieleni i kwiecia cudnych jarów podolskich.

Piękna dębowymi borami, piękna swem słońcem, żyzna, bogata. I mimowoli cisną mi się na usta słowa poety:

„Gdyby orłem być,
Lot sokoła mieć,
Lotem orlim, lub sokolim,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć".

Kocham cię, ziemio moja, i tęsknię za Tobą, choć wiem, że tęsknota moja końca mieć nie będzie, i że Cię nigdy nie zobaczę.

Kocham cię, choć wiem, że z prastarego dworu śladu już niema, że wielki sad w pień wycięty, i że zrobili to ci, których chciałem mieć braćmi.

Tam młodość swą spędziłem i pierwsze kroki łowieckie rozpocząłem.

— — — — — — — — — — — —

W piękny poranek jesienny, wraz z bratem moim, wybraliśmy się do dębinki nad jarem spróbować szczęścia z pieskami i upolować szaraka, a gdyby św. Hubert pozwolił, to i lisiura na rozkładzie by się przydała.

Psy rwały tak, że pomimo wstrzymywania z sił całych, musieliśmy niemal biec za nimi, znały one bowiem drogę i wiedziały, co wyprawa nasza miała znaczyć.

Czyste powietrze jesienne wznosiło piersi nasze swobodnym, lekkim oddechem, a oczy cieszyły się blaskiem iskrzących brylantów przymrozku jesiennego.

Będzie gon świetny, słonko przygrzewa, lecz rosa nie tak szybko wyschnie, więc i trop będzie świeży i łatwy.

Lecz oto jesteśmy w dębince, spuszczamy ze smyczy naszą trójkę: Lutnię, Zagraja i Hultaja. Dobrana to trójka, słynna niemal na całą okolicę.

Lutnia i Zagraj, rodzeństwo o czarnym, długim włosie, żółto podpalane łapy i pysk, biały żabot u szyi i koniuszek ogona biały. Hultaj, o szorstkim, żółtym włosie, wyższy i grubszy, zawsze rej prowadzi i trop najlepiej trzyma.

Puszczona trójka rozbiega się po krzakach i jak zwykle, Lutnia pierwsza cieniutkim głosem „dolawiać" rozpoczyna.

„Jest. — jest na tropie" — szepcze mi Stach.

Hultaj i Zagraj pędem zbliżają się do Lutni, lecz oto z pod krzaka, jak kula pomyka szarak, a psy, zoczywszy go, podnoszą gwałt, i pędząc, znikają w jarze.

Cieniutkie „aj, aj, aj" Lutni i Zagraja, z basowem „bum, bum, bum" Hultaja, zlewają się w dziwną, przecudną muzykę myśliwską.

Stach w zapale woła: „huzia, huzia", a ja z niemniejszym:

„Hej, hej, po nocnej rosie,
Płyń, dźwięczny głosie,
Niech się twe echo roznosi!".

I pędzimy obaj co tchu na skraj urwiska, by zobaczyć, którędy szarak skręci i pieski poprowadzi.

Przez koła lornetki widzę, że szarak, jak kula toczy się w stronę kurhanu, pieski zaś zgranem trio koncertują jeszcze w jarze.

„Szarak już na kurhanie" — odzywam się do Stacha.

„A no, to będą pieski znowu pomęczone, bo to ten stary gracz, który już się nam kilka razy wymykał".

Słaby odgłos gonu psów ledwie dosłyszalnem echem dochodzi do nas; widocznie są jeszcze w jarze, po drugiej jego stronie, lecz oto wynurza się, jakgdyby z pod ziemi trójka cała, a głosy ich wyraźnie dolatują już do nas. Psy pędzą w stronę kurhanu.

Spojrzałem przez szkła i widzę, że szarak nasz „słupkuje" na kurhanie, jakgdyby badał sytuację, a potem pędem puszcza się naprzeciwko goniących daleko jeszcze psów, i przebiegłszy pewną przestrzeń, gwałtownie daje susa w bok i sypie wprost na mnie.

„Gracz idzie tu" — wołam do Stacha.

„No, niewiadomo, czy czasem rowem nie skręci. Pobiegnę na drugą stronę jaru, pewniej z dwóch stron odwrót mu zagrodzić" — odpowiada mi Stach i pędem znika w gąszczu.

Przytulony do pnia olbrzymiego, rozłożystego dębu, wsłuchuję się w gon daleki psów i oczekuję zjawienia się starego gracza.

Lecz oto i jest; nie śpiesząc się, przebiega tuż koło mnie, robi klasyczną pętlę olbrzymim skokiem, odsadza się w bok i przykuca pod krzakiem leszczyny. Jest odemnie o jakich kroków pięćdziesiąt, przytulony do ziemi, z położonymi na grzbiecie słuchami, wydaje się, jak bryłka szarej ziemi. A psy tymczasem już na kurhanie wrzawę wszczynają, zawracają i raptem cichną, nie pojmując, co się stało i gdzie się szarak podział? Prędko się jednak orjentują i zataczając koło, wpadają na trop nowy, waląc wprost ku mnie.

Są już prawie pod dębem; dźwięczne ich głosy potęgują się echem leśnem, a biedne zajęczysko nie wytrzymuje niemiłego dla siebie hałasu, zrywa się, zdradza swoją skrytkę, a psy znów zoczywszy go, ze zdwojoną energją puszczają się pędem za nim.

Nie zdążyłem wystrzelić, gdy wszystko znikło, a po chwili strzał z drugiej strony jaru, krótki sygnał trąbki i znany zew „na tu, tu,“, ogłosił śmierć starego gracza.

Psy na smyczy nie rwały już naprzód, lecz szły spokojnie, a nam tak dobrze było w tym leśnym ustroniu, tak cudnie świeciło słońce; taka masa powietrza była wokół, że się nie chciało wracać do dusznych izb domostwa. Postanowiliśmy więc spróbować szczęścia i puścić pieski w gęste łozy, znajdujące się na drugim końcu głębokiego i długiego parowu.

Tam zwykle lubił zalegiwać lis, powracając ze swych nocnych wypraw, tam też skierowaliśmy swoje kroki, a psy, wiedząc o co chodzi, z wesołym piskiem poczęły rwać naprzód.

Lecz oto łozy. Spuszczamy trójkę naszą i z wesołem, „hudzia, hudzia, szukaj!“ rozbiegamy się ze Stachem w przeciwne strony, by zająć znane nam lisie przesmyki.

Niedługośmy czekali, gdy gruby głos Hultaja oznajmia, że ruszył jakiegoś zwierza, lecz co, narazie nie wiem, bo pomimo że stoję na wysokiem zboczu i mam pod nogami niemal całą przestrzeń łoziny, nie mogę dojrzeć, co się tam wewnątrz dzieje, choć od czasu do czasu migają mi psie sylwetki.

Do Hultaja wkrótce przyłącza się Zagraj z Lutnią i grzmi koncert w całej pełni.

Podbiegam jeszcze wyżej i z zapartym oddechem wsłuchany w psią muzykę, wpatruję się w łozowy gąszcz. I oto widzę, na parę stajań przed psami, wymyka się chytra lisiura, lecz dąży wprost przed siebie, na odkryte miejsce, gdzie żaden z nas, nie przypuszczając, by lis tamtędy chciał uciekać, nie stanął na tym wyskoku.

Po chwili lisiura był już za dębinką i wyrywał wprost na pole, którędy tak niedawno zmykał upolowany zając.

Manewr lisi zauważył i Stach, huknął mi więc: „pędem do nór“, co też usłuchałem i co tchu, co sił w młodych nogach, pędziłem na złamanie karku, na drugą stronę parowu, pod wysokie, stare lipy, gdzie na gliniastem zboczu, widniało kilka otworów nór lisich.

Stach pobiegł w przeciwną stronę, aż pod samc pola i stanął w młodem zagajeniu dębowem, gdzie były inne lisie nory.

Dokąd też lis zawróci, do mnie, czy do Stacha?

Tymczasem pieski, żwawem tempem i z donośnym hałasem uganiają gdzieś po polu, oddalają się coraz bardziej od nas i głos ich zaledwie do nas dolatuje. Nareszcie milknie i dopiero w jakieś pół godziny słyszymy znów nadlatujące odgłosy, coraz jaśniej, coraz wyraźniej, aż oto huka strzał, to Stach wali do uciekającego lisa.

— Nie mam szczęścia — pomyślałem, gdy wtem coś mi miga z boku i widzę pędzącego w mą stronę lisa.

Stach spudłował! Chwytam na muszkę lisiurę i szczęśliwym strzałem zatrzymuję go na miejscu.

A pieski, pobudzone strzałem, grają coraz bliżej, coraz głośniej, coraz zawzięciej.

Biegnę więc na ratunek skórki lisa, i razem prawie z pieskami, dobiegam do naszej zdobyczy.

Nadbiega i Stach.

Polowanie zakończyliśmy, weseli, dumni i szczęśliwi, wracamy ochoczo do domu, gdzie nas wszystkich czeka zasłużone, a tak pożądane śniadanie.

Z gończymi polowałem bardzo często w życiu swem, a poraz ostatni w ziemi wileńskiej, w pow. Dziśnieńskim, gdzie mnie losy wojny rzuciły.

Urządziłem takie polowanko dla oficerów niemieckich, którzy w ośmnastym roku, odrzuciwszy zbolszewiczałych żołnierzy rosyjskich, aż za Psków, chwilowo dali nam opiekę i obronę od nadużyć i gwałtów.

Niemcy po raz pierwszy polowali w ten sposób, napocili się porządnie, przebiegając i zabiegając gonioną zwierzynę, zachwycali się wyglądem goniącej sfory, jak również i muzyką psiego gonu, pomimo że tym razem głosy dobrane nie były, a sfora gończaków zbierana była z rozmaitych stron.

Urok polowania z gończymi może odczuć tylko ten, kto na olbrzymich obszarach uganiał się nieraz dzień cały, mając w rezultacie jednego lub dwa szaraki.

Dziś polowanie takie coraz bardziej zanika i możliwe jest tylko tam, gdzie zwierza stosunkowo jest niewiele, a obszary duże, więc i pieski nie pójdą niepokoić sąsiedniej zwierzyny, a po swoim tylko terenie chodzić będą.

LEON PESKI.

Pod zielonym sztandarem.

WALKA PRZECIW NIELEGALNEMU HANDLOWI ZWIERZYNĄ.

W ostatnim „Łowcu Polskim“ ukazała się, mogąca wprowadzić Czytelników w błąd, notatka o ostatnim etapie walki przeciw nielegalnemu handlowi zwierzyną. Nie może być mowy o „domniemanej“ sprzedaży zwierzyny w czasie zakazanym, lecz o istotnie nielegalnym handlu zwierzyną stemplowaną. Sądy uznały bez zastrzeżeń słuszność wystąpienia red. Juljana Ejsmonda.

Dodać zresztą należy, iż i f. Braci Pakulskich od czasu tej sprawy ani razu w niczem nie obraziła etycznego ani prawnego poczucia myśliwych.

NIEDŹWIEDŹ W DZIŚNIEŃSZCZYŹNIE.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Wilnie powiadomiła niedawno Ministerstwo Rolnictwa, iż w pasie nadgranicznym (około Parafjanowa) zaległ w barłogu olbrzymi niedźwiedź.

W związku z tem władze leśne otrzymały polecenie roztoczenia nad nim najtroskliwszej opieki, ażeby zachować przy życiu jednego z ostatnich na Litwie niedźwiedzi.

VENATOR.

Wszytkim Towarzystwom, Kołom i Kółkom Łowieckim oraz osobom prywatnym, które przesłały na moje ręce gratulacje z powodu nowego prawa łowieckiego składam na tem miejscu najserdeczniejsze myśliwskie podziękowanie.

JULJAN EJSMOND



Z CENTR. ZWIĄZKU POL. STOW. ŁOW.

Zgłoszeni zostali w dalszym ciągu na Delegatów Powiat. pp.:

Jerzy Szeligowski, Łowicz, Stary Rynek 3, dotychczasowy Del. na p. Łowicki dodatkowo na p. Sochaczewski.

Stanisław Bogdański, Mroga p. Bielawy na p. Łowicki.

Konstanty hr. Zamoyski, Włodawa na pow. Włodawski.

Stanisław Michaelis, Ostrożany p. Siemiatycze na p. Bielsk Podlaski.

Włodzimierz Orda, p. Derewek m. Perekale, na pow. Piński.

Paweł Lazar, Krośniewice, p. Ostrowy Warszawskie na pow. Kutnowski.

WEZWANIA.

W myśl „Odezwy do myśliwych", zamieszczonej w Nr. 8 „Łowca Polskiego", o przyłączeniu się do Łańcucha Przyjaciół „Łowca Polskiego" uprzejmię proszę w swojem imieniu—Józefa Siokmaka, sędziego Pokoju, wezwać następujących myśliwych:

1) Przewielebnego ks. Karola Gumbaragisa, proboszcza w Mielegianach, poczta Mielegiany, pow. Święciany, woj. Wileńskie.

2) Pułkownika Bronisława Zaniewskiego, poczta Cejkinie, p. Święciański, woj. Wileńskie.

3) P. Franciszka Wilkańca d-ra medyc., poczta Hoduciszki, pow. Święciański, woj. Wileńskie.

4) P. Jana Borysowskiego, sędziego śledczego, poczta Łyntupy, pow. Święciany, woj. Wileńskie.

ODEZWA

W SPRAWIE PRZYSTĄPIENIA DO „LIGI OCHRONY PRZYRODY".

Państwowa Rada Ochrony Przyrody, jako organ doradczy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w sprawach ochrony przyrody w Rzplitej, pracuje już od lat 8-miu nad zabezpieczeniem przed zagładą resztek przyrodzonego piękna polskiej ziemi, otaczając opieką pierwotny krajobraz, szatę roślinną, ginące zwierzęta i zabytki przyrody martwej. W tej trudnej pracy, gdy mimo usilnych starań giną z zatrważającą szybkością zarówno pojedyńcze, osobliwe okazy fauny i flory polskiej, jak też ulegają zaorywaniu lub spasaniu ostatnie szczątki stepów polskich (np. Makutra pod Brodami, kwieciste ścianki podolskie), a pod siekierą kładą się resztki pierwotnych puszcz leśnych, gdy pamiątkowe i naukowe cenne parki polskie znikają jeden po drugim, a najpiękniejsze części gór naszych tracą z roku na rok coraz szybciej swój urok, — zwracamy się odezwą tą do Towarzystw Polskich oraz do wszystkich miłośników przyrody z prośbą o pomoc.

Ponieważ skarb Państwa nie może łożyć pieniędzy na wykupno (lub dzierżawę) ginących zabytków przyrody naszej, przeto pragniemy uzyskać od społeczeństwa potrzebny nam fundusz, abyśmy mogli systematycznie wykupywać (lub dzierżawić) skazane na zagładę zabytki przyrody oraz najcenniejsze naukowe tereny stepowe, leśne, torfowiska i t. p., po to, aby z nich tworzyć — wzorem zagranicy — t. zw. rezerwaty.

W Szwajcarji istniejąca społeczna „Liga Ochrony Przyrody" wydzierżawiła na przeciąg lat 99-ciu górną część doliny Engadinu, a młodzież szkolna ze składek groszowych wykupiła pamiątkowy półwysep Rütli, drogi każdemu Szwajcarowi, gdyż związany z pamięcią przysięgi narodowego bohatera Wilhelma Tella. W Niemczech istnieją imponujące organizacje, realizujące stopniowo plany nabycia na własność narodu wielkich obszarów położonych na niżu i w Alpach, celem stworzenia z nich niemieckich „parków narodowych". Norwegja wykupiła niedawno, dzięki ofiarności publicznej, z rąk właściciela prywatnego największy i najpiękniejszy wodospad, aby zachować go w stanie nienaruszonym dla przyszłych pokoleń. Anglja, Francja, Belgja, Szwecja, Ameryka, Australja, Japonja i Nowa Zelandja rozwijają na tem polu imponującą działalność.

A u nas?

U nas Świteź Mickiewiczowska, sprofanowana ręką obcą i wrogą, świeci świeżemi i ciągle odnawianemi ranami w otaczających ją lasach, opiewany przez Słowackiego, kwiecisty step w okolicach Krzemieńca w ostatniej swej resztce (na Makutrze) porznięty jest, po parcelacji obszaru dworskiego, bróździami oddzielającemi działki drobnych właścicieli, którzy niebawem przystąpią do jego zaorania, cudowne Pieniny i Tatry są po wandalsku ogołacane z szaty leśnej, w rzekach górskich wybija się tysiące łososi, sposobami gospodarczo niedozwolonymi, a w Niemnie pod Grodnem zabito niedawno bezkarnie ostatniego w tej części kraju bobra, i t. d. Powojenne zdziczenie obyczajów święci tryumfy.

Trzeba nam wreszcie zdobyć się na czyn własny w obronie piękna polskiej ziemi!

Pragniemy w Polsce powołać do życia polską „Ligę ochrony przyrody". Apelujemy do istniejących i zorganizowanych Towarzystw Polskich, aby zechciały przystąpić do „Ligi". Chcielibyśmy, aby zgłosiły swe przystąpienie jak najliczniejsze Towarzystwa społeczne, naukowe, zawodowe i kulturalne, i to zarówno społeczeństwa starszego jak i młodzieży, oraz aby członkowie tych Towarzystw (na walnych zebraniach lub przez uchwały swoich Zarządów lub Wydziałów) zgodzili się płacić po 30 groszy rocznie. Wkładki byłyby ściągane przy uiszczeniu normalnych wkładek członkowskich przez skarbników Towarzystw reprezentowanych w „Lidze" i byłyby następnie odsyłane przez nich co kwartał (pół roku lub w końcu roku) do kasy „Ligi".

Prosimy też gorąco wszystkich miłośników przyrody, nienależących do Towarzystw, które wstąpią do Ligi, aby zgłaszali się indywidualnie na członków „Ligi". Obowiązki i prawa członków określa bliżej statut, który na żądanie prześlemy.

Liczymy na to, że przy gromadnem zgłoszeniu na członków „Ligi", zarówno Towarzystw Polskich, jak też pojedyńczych osób, przy minimalnych świadczeniach pieniężnych na rzecz tej instytucji, uda się zebrać co roku pewną kwotę pieniężną, która umożliwi Radzie Ochrony Przyrody doraźną ochronę najbardziej zagrożonych zabytków przyrody i stopniowe wykupno z rąk prywatnych właścicieli, najpiękniejszych, a zarazem naukowo ważnych terenów dla utworzenia z nich rezerwatów przyrody, celem zachowania ich piękna dla przyszłych pokoleń.

Podając projekt ten do wiadomości, prosimy gorąco o wyrażenie zgody na przystąpienie do mającej powstać „Ligi Ochrony Przyrody" przez przeprowadzenie w gronach swoich członków odpowiednich uchwał.

Aleksander Janowski, Prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i przewodniczący Komitetu Organizacyjnego „Ligi Ochrony Przyrody". **Członkowie Komitetu Organizacyj-**

mego „Ligi": Władysław Szafer, Prezes Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Jan Gwalbert Pawlikowski. Wiceprezes Rady Ochrony Przyrody. Prezes Sekcji Ochrony Tatr Pol. T. T. Walery Goetel, Wiceprezes Pol. Towarzystwa Tatrzańskiego, delegat P. R. O. P. dla spraw pogranicznych parków natury. Bolesław Hryniewiecki, Przewodniczący Pol. Tow. Botanicznego i przewodniczący warszawskiego Komitetu P. R. O. P.

Kraków — Lwów — Warszawa. W maju 1927 roku. Tymczasowy adres „Ligi": Kraków, Lubicz 46.

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

Od dn. 1 do 15 stycznia włącznie podług nowej Ustawy Łowieckiej wolno polować na: sarny-kozły (w województwach Poznańskiem i Pomorskiem tylko do dn. 31 b. m.), zające, jarząbki, pardwy, bażanty-koguty, słonki, bataljony, kaczki, łabędzie i gęsi, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty ptaki krukowate i drapieżne, wilki, wydry, kuny-kamionki, tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— W Wilczynie p. Kazimierza Taczanowskiego w powiecie słupeckim ziemi kaliskiej odbyło się polowanie z naganką złożoną z 200 ludzi. Po pierwszym kotle, w którym naliczono 120 zabitych zajęcy, zakłada się drugi i trzeci. Zajęcy padło ogółem 396, oraz dwa lisy.

Obliczanie łupów wykazuje, iż p. Jan Pętkowski, właściciel dóbr Kożuszkowo ma godność królewską, położył bowiem 37 zajęcy oraz pięknym dubletem — dwa lisy. Gen. Rydz-Śmigły miał godność wicekróla, zabiwszy o 10 sztuk zwierzyny mniej.

— W dniu 19 grudnia odbyło się w maj. Sekursko, własność pp. Janostwa Biedrzyckich polowanie leśne. Uczestniczyli pp. Henryk hr. Potocki, Karol hr. Skarbek, Janostwo Sobańscy, Jacek Siemieński, Wacław Siemieński, Paweł hr. Potocki Hieronim Siemieński. Przy cudownej pogodzie 14°R. — ubito 302 sztuki, w czem: 239 zajęcy, 40 bażantów, 23 króliki. Królem polowania był p. Wacław Siemieński. Polowanie prowadzone było niezwykle wzorowo. Zaznaczyć trzeba, że zwierzostan w Sekursku przedstawia się znakomicie dzięki wielkiej opiece i staranności, jaką zwierzyna jest otoczona. Jako dowód niech służy wykaz wytępionych szkodników od 1-go I. r. z.: 11 tchórzy, 1 lis, 1 kuna, 19 jastrzębi-gołębiarzy, 67 psów, 48 kotów, 21 łasic. Wrony prawie całkowicie wytępione.

UCZESTNIK.

— Dnia 12 i 13 grudnia odbyło się w majętności Iwno Ignacego hr. Mielżyńskiego w Wielkopolsce polowanie na zające. Ubito w 12 strzelb 1.300 zajęcy, 180 królików, 214 bażantów. Królową polowania była pani wojewodzina hr. Bnińska z Gutlów, mając na rozkładzie 160 zajęcy, 16 królików, 29 bażantów. Drugim z rzędu był Zygmunt hr. Skórzewski, ordynat Czerniejewa, z rozkładem 118 zajęcy, 19 królików i 31 bażantów. Trzecim był J. O. Olgierd ks. Czartoryski z Sielca, który miał na rozkładzie 112 zajęcy, 22 króliki i 25 bażantów. Świetny ten rezultat, który zapewne tworzy rekord Polski, zawdzięczać należy troskliwej opiece, jaką właściciel Iwna otacza tak przez niego ulubioną zwierzynę, odświeżając krew przez sprowadzanie corocznie około 50 samic; przez racjonalne tępienie drapieżników oraz racjonalne paszenie. Łowiectwo tworzy w Polsce bardzo ważną gałęź ekonomiczną, to też z wielkiem uznaniem należy uznać starania właściciela Iwna.

UCZESTNIK.

— W dniach 12 i 13 grudnia 1927 r. odbyło się w Jeziorkach pow. Poznańskim u p. Stefana Dąbrowskiego polowanie w 9 strzelb, na którem zabito ogółem 1,172 sztuki, w czem 860 zajęcy, 134 bażantów, 100 królików i 72 kuropatw (spec. pozw.).

WZORY DO NAŚLADOWANIA.

Częstokroć mamy do zanotowania fakty troskliwej pamięci myśliwych o naczelnej instytucji łowieckiej, jaką jest Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Z tego względu na wyróżnienie zasługuje list p. Antoniego Stelmaszyka, leśniczego z Mazurów w powiecie Wysoko-Mazowieckim.

Nadesłał on list tej treści:

Wysyłam czek pocztowy na złotych 85 groszy 30, które są przeznaczone na sieroty po zabitych na posterunku przez kłusowników, leśnikach. Kwotę powyższą otrzymałem ze świeżo otwartej na powyższy cel pozycji, przy Zarządzie lasów dóbr Mazury, za mniejsze przewinienia łowieckie na terytorjum dóbr Mazury i dzierżawionych terenach łowieckich, wykryte przez straż leśną i dobrowolnie załatwione.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

Nadesłano nam następujące książki

Józef Władysław Kobylański: „W chronie użytecznej zwierzyny łownej". — Pracieni myśliwym ku pamięci. Nakładem autora. Przemyśl, Katedralna 3. — 1927 r. Cena zł. 2.

Konrad Machczyński: „Mozaika Wilcza", z przedmową Juljana Ejsmonda. Winieta okładkowa i 4 ilustracje wewnętrzne prof. Stan. Sawiczewskiego. Wydanie drugie. Nakład księgarni św. Wojciecha. — Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin.

Witold Ziembicki: „Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego z zakresu przyrody, łowiectwa i gospodarstwa". — Lwów — 1927.

Dr. Zygmunt Federowicz: „Krajowe zwierzęta ssące" ze 108 rysunkami w tekście. — Wilno. — Nakładem Józefa Zawadzkiego. — 1928.

Łowiec — (lwowski) Nr. 11: Seweryn Kregulski „Pół wieku". — Witold Ziembicki „Kazimierz hr. Wodzicki w piśmiennictwie niemieckiem". — Albert Mniszek „Na zielonym ekranie" — Władysław Guertler „Patory na łowach". — Adam hr. Rzewuski „Z wrażeń wołyńskich". Antoni Pisuliński „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych". — Hieronim Radziwiłł „Pierwszy łoś ubity w wolnej Polsce". — Z Karpat.—W. Z. „Notatki bibljograficzne".—Korespondencja.

Łowiec Nr. 12: Seweryn Kregulski „Pół wieku". — Por. Podeski „Wyrób amunicji małokalibrowej". — Antoni Pisuliński „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych". — Władysław Guertler „Batory na łowach" — Mieczysław Kruszewski „O kniei Bełskiej" — W. Z. „Notatki bibljograficzne". — Mistrz Rotmistrz „Kronika stara, podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało". — Korespondencje: Lisowice, Rożyska, Surochów, Czortków. — Z rykowiska 1927, Dzików, Nieżuchów. — Sprawy Towarzystwa. — Na ołtarz św. Huberta. — Komunikaty.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

W Warszawie. Bracia Pakulscy, Bracka 22, płacą loco Warszawa ze zwrotem kosztów frachtu, za zająca 8 — 8,50 zł., za bażanta-koguta — 7,50, za kilo sarny 2,50, dzika 1,00, za parę kwiczołów 1,10.

Przemysł futrzany Tytus Kowalski, Senatorska 10, notuje ceny następujące: Kuny leśne — 180 zł., kuny-kamionki — 135, tchórze — 49, wydry — 150, gronostaje — 22, rysie — 190, wilki — 72, lisy od 50 do 135. Zależnie od piękności skórki, okolicy pochodzenia, oraz pory zabicia, ceny wahać się mogą o 25 prcc. w dół i w górę. Są to ceny, które kupcy płacą myśliwym.

W Toruniu w końcu grudnia zanotowano: za kilo jelenia I gatunku — 3,80 zł., II gat. — 1,60; sarny I gat. — 5,40, II gat. — 3,60; zająca I gat. — 3,00, II gat. — 2,60. Za kuropatwę I gat. — 3,00, II gat. — 2,60; bażanta I gat. — 10,00, II gat. — 8,00.

Ceny płacone za skóry futrzane I-a niewyprawione, wedle notowań firmy Stanisław Stępkowicz, Lwów: Zające 3.50 zł., lisy 10 dol., wiewiórki 60 cent. am., tchórze 4.50 dol., tumaki domowe do 14 dol., kuny leśne 22 dol., wydry 15 dol.

W Berlinie za pół kilo sarny I gat. 1,05 — 1,15 mar., II gat. 70 — 90 fen., daniela średniego 65 — 70, grubego 55 — 60, cielęcia 80 — 90, jelenia grubego 60 — 65, średniego 65 — 70, ciel. 70 — 75; dzika grub. 40 — 50, średn. 50 — 60, małego 60—65, warchlaka 65 — 70. Za zająca dużego 7,50 — 7,75 mar., średn. 5,00 — 6,00, mał. 3,00 — 4,40, węgierskiego 6,75 — 7,70, dzikiego królika 2,10 — 2,30, dziką kaczkę 2,00 — 2,25, bażanta-koguta młod. I gat. 4,00 — 4,50, II gat. 1,80 — 2,00, star. I gat. 3,00 — 3,25, II gat. 2,00 — 2,50; kurę I gat. 2,50 — 2,75, II gat. 1,00 — 1,50.

Skórki w Berlinie. Wskutek mrozów płacono lepiej. Zanotowano: Kuny-kamionki 65,00 mar., leśnej — 85,00, tchórza 15,00, łasicy — 7,00, lisa — 30,00, zająca — 1,60, dzikiego królika — 55 fen., sarny — 1,50 mar.

Zagranicą zupełnie zaniedbane są skóry zajęcze. Magazyny fabrykantów są pełne jeszcze zapasów, pochodzących z ub. r. Dopiero wtedy, kiedy na rynku będzie mniejsza podaż, należy się liczyć z ożywieniem się handlu skórami zajęczemi.

„Chang" — film z dżungli.

Kino „Światowid" w Warszawie wyświetla zachwycającą epopeę dżungli. Najtajniejsze uroki dżungli, które tak pięknie opisywał Kipling, zostały znakomicie sfilmowane w „Changu" przez kierownika ekspedycji filmowej, kapitana M. Coopera. Wspaniale dramatyczna jest scena tratowania przez stado dzikich słoni wsi sjamskiej, a polowania na tygrysy mają posmak krwi, prochu i niesfałszowanej autentyczności.

Są to obrazy schwytane na gorącym uczynku życia. Więc: król puszczy — Baloo, słoń, „Changiem" zwany w narzeczu sjamskiem; Sheere Khan, krwiożerczy tygrys; przedziwna, cętkowana Bagheera, setki zjadliwych Bandar Logow — małp. Cudu tego dokonało dwóch ludzi: Merim Cooper i Ernest Schoendsack, którzy z niesłychaną odwagą, narażeni na tysiące niebezpieczeństw, przeżyli półtora roku w sjamskiej osadzie, wśród plemienia Laos, z rodziną osadnika Kru. Jeden filmował z odległości 25 metr., lub 10 metr., drugi stał przy nim ze strzelbą. „Chang" jest największym wrogiem plemienia; napada w nocy, kradnie dzieci, niszczy pola ryżowe. Rodzina Kru walczy z nim zajadle; walczy z tygrysami, lampartami, wężami, hjenami, ale słoń zmusza ją do ucieczki. Ofiarą też najazdu rozjuszonego stada kilkuset słoni pada cała wioska. I dopiero po kilkumiesięcznej walce i użyciu podstępu udaje się mieszkańcom schwytać i unieszkodliwić niebezpiecznego wroga. Cel filmu, podpatrzenie i schwytanie tętna życia dżungli, osiągnęli operatorzy znakomicie, dając jednocześnie niezwykle interesujący obraz zmagań ciągłych człowieka ze zwierzęciem.

Dystrykt Nan, w którym nakręcano Changa, jest krainą, w której tygrysy są postrachem ludzi. W szponach tygrysów zginęło tam w ostatnich latach 500 ludzi. Realizator Changa, major Cooper, opowiada, że w jednej z wiosek sjamskich, zamieszkanej przez 100 tubylców, tygrysy uśmierciły w przeciągu roku 20 ludzi.

Major Cooper i współpracownik jego Schoedsack, badali teren dystryktu Nan przez półtora roku i dopiero po tym terminie przystąpili do zdjęć.

Skłonienie tubylców do podjęcia walki z tygrysami natrafiało na ogromne trudności.

Zasady religji plemienia Laos oparte są bowiem na wierze w wędrówkę dusz. Plemię to wierzy, że człowiek, który zabija tygrysa, zmienia się w konia, którego dosiada zabity tygrys.

Przekonawszy się, że panowie Schoedsack i Cooper, mimo wytępienia szeregu tygrysów nie zmienili ludzkich kształtów, tubylcy zaczęli tracić wiarę w wędrówkę dusz i podjęli wreszcie walkę przeciw wampirom dżungli.

Chcąc jednak ocalić swe dusze, mieszkańcy plemienia Laos nie zabijają tygrysów, lecz zastawiają na nie sidła. Pewnego dnia Schoedsack wdrapał się na drzewo, by zgóry sfilmować tygrysa. Gdy zwierzę ujrzało aparat, wpadło w furję i zaczęło potrząsać drzewem z taką siłą, że Schoedsack spadł i omal nie dostał się w szpony rozszalałej bestji. Gdyby nie strzał Coopera, dany z odległości 70 cm., operator przypłaciłby śmiałość życiem.

Scena sfilmowania napadu stada słoni na wioskę sjamską ma również swoją historję. Pierwsze zdjęcie zrobiono z odległości 35 mtr., potem Schoedsack skoczył do głębokiej jamy, nad którą umieszczono trzy poprzeczne deski, i zaczął filmować zbliżanie się stada olbrzymów.

Dzięki temu osiągnął niesłychany efekt. Widz ma wrażenie, że słonie pędzą nad jego głową, tak samo jak pędziły nad głową operatora.

Chang jest symfonją dziewiczej puszczy i peanem na cześć nieznającej przeszkód energji ludzkiej. Równocześnie jest to hymn ku czci ducha ludzkiego, który wdziera się w najgłębsze tajemnice i wszędzie niesie przed sobą światło.

WIADOMOŚCI MYŚLIWSKIE.

Spóźniony pomiot. Na polowaniu odbytem w dniu 21 grudnia r. z. na terenach łowieckich T-wa Myśl. Głuszec w Warszawie—w pow. Bielsk-Podlaskim, łowczy T-wa p. Józef Bieguszewski zabił zająca, który po wypatroszeniu okazał się kotną samicą. Zaznaczyć należy, że kociak był zupełnie sformowany i pokryty sierścią. Samica przed strzałem biegła ostro i ruszyła wcześnie z przed naganki — nie dając znaku o swym nienormalnym, jak na tak późną datę, stanie. Notujemy fakt powyższy jako swego rodzaju curiosum.

Szczepienie psów. Magistrat zezwolił na dokonywanie w zakładzie utylizacyjnym szczepień przeciw wściekliźnie psów, schwytanych na ulicach miasta, a podlegających zwrotowi właścicielom, obciążając kosztami szczepień właścicieli psów. Szczepienia będą dokonywane metodą japońską „Coudo". Wysokość opłaty za trzykrotne szczepienie 12 zł.

Dochód z psów. Proceder chwytania wałęsających się psów w Warszawie daje miastu rocznie 25 tys. złotych dochodu. Świadczą o tem cyfry budżetowe zakładu utylizacyjnego. Pięć tysięcy psów ginie na „krześle elektrycznem". Dochód ze sprzedaży ich kości, łoju i skór wynosi 4 tysiące złotych. Pięćset psów sprzedaje zakład dla celów wiwisekcyjnych, uzyskując za sprzedaż jednego psa 2 zł. razem więc 1000 złotych. Wreszcie około 500 psów spotyka „prawo łaski". Dochodowo najlepiej to się opłaca zakładowi, gdyż z wykupu psów urasta suma do 20 tysięcy złotych na rok.

Wypadki z bronią. Na polach wsi Albertowa pod Łodzią odbywało się polowanie, w którem brało udział kilkunastu myśliwych. Kręcący się w pobliżu terenu polowania 17-letni Maksymiljan Fryc, syn dzierżawcy, dostawszy się na linję strzałów, otrzymał ładunek grubego śrutu w pierś. Chłopiec z rozszarpaną piersią zginął na miejscu.

W rezerwie 8-go komisarjatu w Warszawie przy ul. Śliskiej Nr. 52, posterunkowy Józef Gołaszewski w czasie czyszczenia rewolweru spowodował wystrzał, nie wiedząc, że w lufie tkwi kula. Gołaszewski został postrzelony w lewą dłoń.

We wsi Służewic, w gm. Wilanów pod Warszawą, uczeń Eugenjusz Pietraszkiewicz z Łodzi, strzelając z floweru, postrzelił w czoło przechodzącego drogą, 20-letniego Piotra Duczka, mieszkańca Służewa.

Napad kłusowników na gajowego. Dnia 24-go z. m. gajowy lasów państwowych leśnictwa Dobasz w powiecie Białostockim Henryk Malewski napotkał w lesie 3-ch kłusowników, 2-ch cywilnych z bronią myśliwską i jednego żołnierza z karabinem krótkim. Gdy gajowy usiłował zatrzymać jednego z nich, nadbiegł żołnierz z drugim kłusownikiem i wszyscy trzej, przewróciwszy gajowego, pobili go do nieprzytomności, poczem zbiegli. Sprawców w osobach Jana Olyńskiego i brata jego Kazimierza ujęto. Nazwiska trzeciego narazie nie ustalono.

Z DZIAŁALNOŚCI SPORT. KLUBU STRZELECKIEGO.

Mija rok od chwili założenia S. K. S. Statut Klubu został zatwierdzony w dniu 31 maja r. z. Równocześnie dowódca D. O. K. I zezwolił na należenie do S. K. S. pp. oficerom służby czynnej. Rozwój klubu rozpoczyna się z chwilą otwarcia 50-mtr. strzelnicy. Następuje szereg konkursów i zawodów strzeleckich, wykazujących wysoki poziom współzawodników.

Obecnie w łonie klubu znajduje się wielu najlepszych strzelców Polski, do których należą: por. Wieliczko Ignacy w strzelaniu na 100 mtr. (rekord polski), por. Jerzy Podoski w strzelaniu do sylwetek (rekord polski), inż. Włodzimierz Rudowski (rekord polski z broni krótkiej na mtr. 50 pkt. 457), wreszcie pani Jadwiga Karlewska (rekord pań 183 pkt. na 200 możliwych).

S. K. S. posiada w śródmieściu (Nowy Świat 35 tel. 36-46) strzelnicę krytą o dystansie 36 mtr., w której odbywają się treningi w lecie i w zimie, wieczorami zaś strzelanie odbywa się przy świetle elektrycznem.

W pierwszej połowie stycznia zostanie urządzony konkurs strzelecki dla pań, zawody w strzelaniu do tarczy „match", wreszcie zawody dla panów o wielce urozmaiconym programie.

Sportowy Klub Strzelecki liczy w obecnej chwili 112 członków.

Redaktorzy: **Jan Sztolcman i Juljan Ejsmond.** Wydawca: **Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich.**

Prenumerujcie i rozprzestrzeniajcie

„Łowiec Polski".

W ten sposób rozprzestrzeniać będziecie kulturę łowiecką w Polsce.